

Daphne  
du  
Maurick

Koziol  
ofiarny



# Wstęp

*Kozioł ofiarny*, jedenasta powieść Daphne du Maurier, ukazał się w 1957 roku. Niemal dwadzieścia lat wcześniej na listy bestsellerów błyskawicznie trafiła *Rebeka* i nazwisko pisarki stało się synonimem romansu grozy. I to właśnie zapotrzebowanie na intrygę i namiętność sprawiło, że *Kozioł ofiarny* jest tak zadziwiajączą książką. To bardziej utwór w stylu Grahama Greene'a niż powieść grozy. Charakteryzuje się powściągliwym stylem, wielkim literackim wyrafinowaniem i narracją w pierwszej osobie z typowym dla okresu powojennego poczuciem wyobcowania. Ma także wartką, wciągającą fabułę. Zaskakujące, że to wszystko służy prezentacji złożonych wątków występujących już wcześniej w *Rebecce*. A jeszcze bardziej zdumiewa, że ta świetna książka nie zyskała takiego rozgłosu jak tamta.

O ile w pewnym sensie *Rebeka* to historia drugiej, nikomu nieznannej pani de Winter, pragnącej być taka jak jej niezwykła i niezapomniana poprzedniczka, której nigdy nie zdołała dorównać – jak Rebeka, która pozostawiła niezatarte piętno na wszystkich z otoczenia – o tyle *Kozioł ofiarny* stanowi opowieść o jej męskim odpowiedniku, Johnie.

Zwyczajny Anglik John jest podobnie jak pani de Winter

wręcz bezimienny, nie ma nazwiska, patronimiku czy otczestwa, jak powiedzieliby Rosjanie, rodowodu, który byłby symbolem przynależności i oznaką władzy. Niepewny siebie, bez rodziny, osierocony John jest bezbarwnym historykiem zajmującym się dziejami Francji. Na początku powieści wraca do Londynu, do którego nie dotrze, i zamierza po drodze zatrzymać się w klasztorze trapistów. Jest przygnębiony, wykazuje w gruncie rzeczy skłonności samobójcze. Nie potrafi sobie poradzić z poczuciem życiowej klęski i jak druga pani de Winter chciałby być kimś innym. Niczym bohaterowie E.M. Forstera pragnie gdzieś przynależć: w jakiś sposób nawiązać więzi, być może pokochać, z pewnością włączyć się w nurt tego francuskiego życia, które może jedynie obserwować z zewnątrz i rejestrować.

Z perwersją i rozmachem typowymi dla dzieł Edgara Allana Poeego czy Dostojewskiego du Maurier szybko daje swemu bohaterowi to, czego pragnął. Ofiarowuje mu nowe, inne życie. A to za pośrednictwem sobowtóra. Pragnąc wystarczająco mocno czegoś nowego, innego, można stać się kimś innym. Ale jak wynika z baśni i jak dobrze my, z epoki postfreudowskiej, wiemy z życia, spełnienie głębokich pragnień bywa najbezpieczniejszą rzeczą, jaka może się człowiekowi przydarzyć.

Sobowtór Johna zjawia się na scenie bez udziału magicznych mikstur doktora Jekylla i pana Hyde'a, diabelsko efektownych błyskawic i grzmotów czy głębokich jęków umęczonej rosyjskiej duszy. Po prostu materializuje się w zatłoczonym bufecie dworcowym w miasteczku Le Mans obok naszego bohatera, któremu robi się trochę niedobrze na widok „samego siebie”. Subtelna rzeczowość opisu du Maurier i lekki humor przydają tej scenie mocy i wiarygodności, a także stwarzają już atmosferę grozy. „Czy przypadkiem nie jest pan diabłem?” – pyta Jean de Gué Johna, który odpowiada: „Mógłbym panu zadać to samo pytanie”.

Mężczyźni razem jedzą i piją, patrzą na siebie i dalej piją. John

ma wrażenie, że zna swojego sobowtóra i że jest mu on jednocześnie zupełnie obcy. *Comte de Gué*\* – i to jedyne, co ten osobnik zdradza o sobie w reakcji na szczere wyznania Johna – cierpi na coś, o czym ten tylko marzy: nadmiar. Nadmiar ludzi, więzi. W obecności tego śmiałego i dominującego bliźniaka, obciążonego rodziną i rozmaitymi relacjami, nasz bohater czuje się ubogi jak cień pozbawiony woli. Obudziwszy się z alkoholowego zamroczenia, ten cień zyskuje materialną, aż do przesady, postać jako sam hrabia de Gué.

Du Maurier udowadnia błyskotliwie, że tożsamość (prawdziwa czy nie) jest głównie oparta na tym, czego chcą i oczekują od nas inni, na tym, co na nas projektują. Być może piekło to inni, ale piekło to także życie. John daremnie mówi szoferowi, który po niego przyjeżdża, że nie jest hrabią de Gué; tamten nie słucha, jedynie pyta z szacunkiem, czy monsieur chciałby dłużej odpocząć, czy życzy sobie, żeby przynieść mu coś z *pharmacie*\*\* . Nie ma też sensu protestować, kiedy dociera do otoczonego fosą *château*\*\*\*, czyli miejsca zamieszkania swojego sobowtóra. Niezależnie od tego, jakie przeżywa rozterki i jakich doświadcza lęków przy każdym kroku nieznaną drogą, zachowuje się tak, jak tego oczekuje po nim rodzina, i styka się, nawet gdy ich zaskakuje, zarówno z miłością, jak i z nienawiścią.

Podróż Johna jako sobowtóra w głąb rozległej rodziny, która jest dla niego nowym światem, budzi w nas głęboki niepokój. Każdy etap eksplorowania tego grona zwiększa groźbę, że zostanie zdemaskowany jako oszust, fałszywy mąż i ojciec, syn i kochanek, odtwórca innych zmiennych, niestabilnych, wymagających ról tego wielkiego pokoleniowego edypowego dramatu. John odgrywający Jeana wyzwala wszelkie dziwactwa

---

\* *Comte de Gué* (franc.) – hrabia de Gué (jeśli nie zaznaczono inaczej, przypis pochodzi od tłumaczki).

\*\* *Pharmacie* (franc.) – apteka z drogerią.

\*\*\* *Château* (franc.) – zamek.

występujące w rodzinie; przy tej okazji każdy z nas może się obudzić i stwierdzić, że nie zna swoich najbliższych, że wydają mu się obcy i przerażający, i w efekcie zacząć się zastanawiać, kim naprawdę są – albo kim jesteśmy my sami.

Dom, jak du Maurier aż za dobrze wiedziała z własnego dzieciństwa i potem małżeństwa, to miejsce nawiedzone – czy będzie to piętrowy, czy parterowy budynek w Balham, posiadłość w Manderley czy francuski zamek z gotyckimi wieżami i portretami męczenników, tu opisywanymi z powściągliwością zwykle stosowaną wobec tych pierwszych. Ciemne zbrodnicze sekrety, przejawy zakazanych żądz mogą zakorzenić się wszędzie, za jednym ruchem stołowego noża albo z zapaleniem światła w sypialni przekształcając bezpieczne kąty w groźne zakamarki.

Stopniowe odkrywanie przez Johna, kim są główni gracze w zamku i pobliskiej hucie szkła, nie mówiąc o tajemnicach, które rzutują na ich życie, to proces usiany zagrożeniami, jakie stwarzają wzajemne przyciąganie i odpychanie. Du Maurier maluje swoich bohaterów mistrzowskimi pociągnięciami pędzla, ukazując ich raz jako potwory, a raz jako całkiem zwyczajnych ludzi. Sprawia, że wśród nich John budzi się do życia i zaczyna czuć. Oto spotyka on niedomagającą, słabą ciałem, lecz wymagającą i silną duchem matkę:

„Kobieta wyciągnęła ręce i przyciągany niczym magnesem podszedłem do niej, ukląknęłem przed jej fotelem i chwilę później znalazłem się w jej objęciach, zagubiony w masie ciała i fałdach wełnianych okryć, gdzie poczułem się jak mucha schwytna w wielką pajęczynę, a jednocześnie byłem zafascynowany naszym wzajemnym podobieństwem, drugim obliczem mojego ja, lecz starszym, kobiecym i groteskowym”.

John staje się tą odrażającą, władczą kobietą, która potrzebuje miłości i energii, ale nie dostanie ich od hrabiego i jej potrzeba zamieni się w uzależnienie. Budzący się w Johnie syn może pomóc jej się od niego uwolnić.

*Kozioł ofiarny* to zapadająca w pamięć plejada postaci: urażony młodszy brat, siostra, która pod religijnymi uczuciami skrywa gniew i tłumione pragnienia, słaba, pogrążona w depresji żona, skrzepowana panującymi w rodzinie męża układami, dwie kochanki, jedna histeryczna i wymagająca, druga – oaza spokoju, jak w oku cyklonu, nie mówiąc już o cudownie niewzruszenie pogodnym *curé de campagne*\*, robotnikach z huty i służących. Wśród tych barwnych postaci znajduje się córka *monsieur le comte*, która wyróżnia się jako osoba łącząca w sobie ujmującą siłę i szelmstwo w stylu Pucka. U progu dojrzewania Marie-Noël nie jest ani chłopcem, ani dziewczynką, a jednocześnie staje się jednym i drugim, i najwyraźniej taka podoba się autorce. Jest rozdarta między pochlebstwami ciotki, pchającej ją ku świętobliwemu życiu, pełnemu wyrzeczeń i samobiczowania się, ku któremu wykazuje wyraźną skłonność, a miłością do niewątpliwie światowego ojca, którego chciałaby zagarnąć dla siebie. Jak to dziecko, Marie-Noël zdradza sekretne prawdy domostwa. Jako przyszła kobieta chce kochać i rządzić albo oddać życie. Jako stwórczyni zna aż za dobrze cienie ojcowskiej miłości i potrafi śnić na jawie – jakimś cudem udaje jej się przemienić ojca w porządnego człowieka i nim zawładnąć. Marie-Noël ma dar przewidywania przyszłości i jej pragnienia kształtują przyszłość.

O ile wszystko to razem ma posmak melodramatu czy powieści sensacyjnej, o tyle należy przyznać, że du Maurier nie tylko potrafiła nadać całości psychologiczne prawdopodobieństwo, lecz także osadziła akcję w rzeczywistej Francji, którą dobrze знаła dzięki swojemu pochodzeniu. Ród du Maurier miał kiedyś *verrierie*\*\* , i to właśnie podczas podróży do Francji w celu poznania swoich korzeni Daphne wpadła na pomysł napisania

---

\* *Curé de campagne* (franc.) – wiejski proboszcz.

\*\* *Verrerie* (franc.) – huta szkła.

*Sobowtóra*. Jedna z tajemnic, która pojawia się w książce, dotyczy kwestii lojalności podczas okupacji w czasie drugiej wojny światowej, tego, kto kolaborował, a kto działał w ruchu oporu – i czy te wybory świadczą o moralności. W świecie du Maurier nigdy nie ma wyraźnej granicy między dobrem a złem. Pozornie szlachetne uczynki mogą wynikać z osobistych pobudek. Rzutować na następne pokolenia i zmieniać bieg życia.

A co z kozłem ofiarnym, zabranym z zagrody, by odkupić nasze grzechy? Du Maurier przedstawia nam co najmniej dwóch kandydatów do tej roli. Anglik John jest na koniec zmuszony ustąpić pola, jakim jest jego nowa rodzina, zostawiając wszystkich w znacznie lepszym stanie, niż ich zastał. Należy mu współczuć jako naszemu kozłowi ofiarnemu? Czy może ta rola przypada tak naprawdę – jak często w dziełach du Maurier – ciężarnej, pogrążonej w błogiej nieświadomości żonie, która idzie pod topór, zostawiając mężowi majątek, dzięki czemu jego matka, córka i reszta rodziny mają się znacznie lepiej (co w przypadku kobiet oznacza także więcej zajęć), niż zwykle to bywa po takiej katastrofie?

Konwencjonalna moralność nigdy nie przemawiała do du Maurier. Pisarka zawsze miała dwie twarze, jak niektóre z postaci granych przez jej ukochanego ojca. W zmieniających się krajobrazach życia dobro i zło, jak żona i kochanka albo mężczyzna i kobieta, mogą podlegać zaskakującym metamorfozom. Kiedy pod koniec książki John spotyka się z Bělą, tą kochanką, którą można by uznać za wzorzec moralny powieści – niezależna kochająca kobieta, która w końcu przyznaje, że go rozpoznała, i która naprawiła porcelanowe figurki zwierząt, rozbite przez Marie-Noël, co symbolizuje matczyną miłość – ta nie osądza jego sobowtóra, hrabiego, tak surowo jak on. Jean de Gué może myśleć cynicznie, że wszystkie relacje opierają się w swojej istocie na chciwości, jednak istnieje bardzo cienka linia między jego cynizmem a nowo wykształconą

wrażliwością Johna. To może być ważna linia i w przypadku Johna jest granicą jego samoświadomości, ale w każdej chwili jedno może zamienić się w drugie. Przecież obaj, John i Jean, planowali morderstwo.

W liście napisanym rok po publikacji *Kozła ofiarnego* du Maurier tak pisze o sobie samej i swoim mężu: „Oboje mamy dwie twarze. Podobnie jak wszyscy inni. Każde z nas ma swoją ciemną stronę. Która może wziąć górę nad którą?”.

W przypadku du Maurier chodziło nie tylko o dwie twarze, lecz także o dwie tożsamości seksualne: męską i kobiecą, rywalizujące ze sobą w sferze ról i pragnień. Mówiła o sobie zawsze, że ma w sobie uwięzionego chłopca, który kocha kobiety tak samo jak ona.

I może to właśnie koncepcja sobowtóra, która tak fascynowała artystów, ostatecznie stanowi klucz do poznania pisarki. Małżeństwo du Maurier przechodziło kryzys w czasie, kiedy pisała *Kozła ofiarnego*, i nie byłoby wcale dziwne, gdyby rozdarcie między rolę kochającej, zaangażowanej żony a chłodnej obserwatorki było dla niej bardziej dotkliwe niż zwykle.

Jak napisała Margaret Atwood: „Wśród pisarzy istnieje szeroko rozpowszechnione podejrzenie [...], że w każdym z nich tkwią dwie osoby i trudno przewidzieć, trudno wyznaczyć moment, kiedy dokładnie jedna zamienia się w drugą. Kiedy pisarze mówią świadomie o swojej dwoistej naturze, prawdopodobnie chcą powiedzieć, że ich jedno ja zajmuje się życiem, a drugie pisarstwem, i że [...] oba na sobie pasożytują. [...] Ten sobowtór może być jak cień, lecz jest niezbędny”\*.

Dla du Maurier owa dwoistość była niezbędna przez całe życie. I, być może, właśnie świadomość, co to znaczy, nadaje *Kozłu ofiarnemu* moc.

Żadna z tkwiących we mnie osób nie mogła się od niego

---

\* Margaret Atwood, *Negotiating with the Dead*, CUP 2002 (przyp. aut.).



oderwać.

*Lisa Appignanesi, 2003*

# 1

Zostawiłem samochód przy katedrze i zszedłem po schodach na Place des Jacobins. Wciąż lał deszcz. Nie ustawał od czasu, gdy wyjechałem z Tours, i w krajobrazie, który tak uwielbiałem, widziałem jedynie lśniąca nawierzchnię *route nationale*\* i rytmiczne wahadłowe ruchy wycieraczek.

Za Le Mans depresja, w którą popadłem dwadzieścia cztery godziny wcześniej, jeszcze się pogłębiła. To było nieuniknione w ostatnich dniach urlopu, zawsze tak się działo; tym razem jednak miałem jeszcze bardziej dotkliwą świadomość, że czas płynie zbyt szybko, nie dlatego, że dni były pełne wrażeń, ale dlatego, że niczego nie osiągnąłem. Notatki sporządzone przeze mnie na wykłady, które miałem prowadzić nadchodzącej jesieni, były błyskotliwe, pełne dat i faktów; te należało jedynie ubrać w język, który by wzniecił iskrę w przymglonych umysłach nieuważających studentów. Ale nawet gdyby udało mi się przykuć ich ulotną uwagę na krótkie pół godziny, po zakończeniu wykładu powinienem mieć świadomość, że nic, co powiedziałem, nie ma dla nich żadnej wartości, że

---

\* *Route nationale* (franc.) – droga krajowa.

ofiarowałem im tylko pokolorowane obrazki z historii – postacie z wosku, lalki dumnie występujące w farsie. Umknie mi bowiem prawdziwe znaczenie historii, ponieważ nigdy nie byłem wystarczająco blisko ludzi.

Łatwo też było się zagubić w przeszłości na wpół rzeczywistej, a na wpół wymaginowanej i stać się ślepym na teraźniejszość. W dobrze znanych mi miastach, takich jak Tours, Blois, Orlean, pograżyłem się w fantazjach, widząc inne mury, starsze ulice, kruszące się rogi niegdyś okazałych fasad, które stawały się dla mnie bardziej rzeczywiste niż jakikolwiek prawdziwy obiekt architektoniczny przesuwający się przed moimi oczami, ponieważ ich cienie dawały bezpieczeństwo, podczas gdy w ostrym świetle rzeczywistości były jedynie wątpliwości i lęk.

Gdy w *château* w Blois dotykałem poczerwiałych od dymu murów, tysiące ludzi mogłoby cierpieć męki kilka metrów dalej, a ja w ogóle nie zwróciłbym na to uwagi. Dlaczego? Bo obok mnie stałby Henryk III, wyperfumowany i w klejnotach, który kładłby mi na ramieniu dłoń w rękawiczce, z piaskiem pokojowym na rękę, jakby trzymał małe dziecko; fałszywy urok jego przebiegłej, zniewieściałej twarzy był dla mnie bardziej wyraźny niż maska gapiącego się turysty tuż obok, który gmerał w papierowej torbie, szukając słodyczy, podczas gdy ja czekałem na dźwięk kroków, okrzyk, śmierć księcia Gwizjusza. W Orleanie przejechałem obok Dziewicy, czy jak Bastard podawałem jej strzemię, kiedy wsiadała na konia, i jak on słyszałem zgiełk, krzyki i głęboki dźwięk dzwonów. Mogłem nawet uklęknąć przy niej podczas modlitwy, czekając, aż usłyszę głosy, które czasami dźwięczały gdzieś na obrzeżach mojego słuchu, ale nigdy wyraźnie. Później, potykając się, wychodziłem z katedry i spoglądałem na swojego giermka

jej czystym, fanatycznym wzrokiem, bliski jej niewidzialnego świata, a potem nagle przenosiłem się z tamtych czasów w teraźniejszość, gdzie Dziewica była tylko posągiem, ja obojętnym historykiem, a Francja, za którą oddała życie, krajem zamieszkiwanym przez ludzi, mężczyzn i kobiety, których nigdy nie próbowałem nawet zrozumieć.

Gdy ostatniego ranka wyjechałem z Tours, niezadowolenie z wykładów, które miałem wygłosić w Londynie, i świadomość, że jedyne, co robię w życiu, nie tylko we Francji, lecz także w Anglii, to obserwuję ludzi, a nigdy nie uczestniczę w ich szczęściu ani cierpieniach, wywołały u mnie takie obezwładniające przygnębienie, spotęgowane jeszcze deszczem zacinającym w szyby samochodu, że dotarwszy do Le Mans, zatrzymałem się tam na lunch, choć nie miałem wcześniej takiego zamiaru, bo liczyłem, że coś poprawi mi nastrój.

Był to dzień targowy. Na Place des Jacobins, tuż przy schodach prowadzących do katedry, parkowały ciężarówki oraz wozy z zielonymi plandekami, a na samym placu stały obok siebie stłoczone stragany. Musiał to być jeden z popularniejszych targów, bo było tam pełno wieśniaków, w powietrzu zaś unosił się nieomylny zapach warzyw i bydła, który mógł pochodzić jedynie z ziemi, czerwono-brązowej, lepkiej i wilgotnej, a także z parujących zagród, gdzie w wymuszonym braterstwie niespokojnie stały stłoczone zwierzęta gospodarskie. Trzej mężczyźni pędzili byczka w stronę stojącej obok mnie ciężarówki. Biedne zwierzę porykiwało, obracając na wszystkie strony łeb ze sznurem na szyi i zapierając się na widok platformy, na którą załadowano już innych jego pobratymców, ryczących i wystraszonych. Widziałem czerwone plamki w jego przerażonych ślepiach, gdy jeden z mężczyzn dźgnął go w bok widłami.

Dwie kobiety w czarnych szalach spierały się przy otwartym wozie, jedna z nich trzymała za nogi gdakającą przeraźliwie kurę; ta trzepotała w proteście skrzydłami i uderzała nimi o szeroki wiklinowy kosz wypełniony jabłkami, o który opierała się gospodyni. Podszedł do nich potężny niezdamny mężczyzna w orzechowobrazowym sztruksowym płaszczu, o czerwonej twarzy, mętным wzroku i chwiejnym kroku, zapewne od wypitego w pobliskim bistrze trunku. Człowiek ten mamrotał coś do siebie, patrząc na monety w rozłożonej dłoni, mniej liczne, niż się spodziewał, wręcz nieliczne – w minionej godzinie, gorącej, zapoconej i zadymionej, najwyraźniej musiał się przeliczyć i teraz czekała go awantura z matką i żoną. Potrafiłem sobie wyobrazić rodzinne gospodarstwo mężczyzny, a przed nim jego ojca, dwa kilometry od głównej szosy bitą wyboistą drogą: niski budynek w jasnożółtym kolorze, kryty dachówkami, i zabudowania gospodarcze stanowiące ciemną plamę wśród płaskich brązowych pól, poznaczonych teraz rzędami dyń, limonkowozielonych i łososiowych, okrągłych i twardych, które pozostawiono do wyschnięcia, zanim staną się zimową paszą dla bydła albo w postaci zupy pożywieniem dla ich właścicieli.

Minąłem ciężarówkę i przeszedłem przez Place des Jacobins do *brasserie*\* znajdującej się w jednym jego rogu. Nagle na pochmurnym niebie zaświeciło blade słońce i ludzie na placu, którzy w deszczu wyglądali jak czarne smugi, podobne do wron, skuleni i bezosobowi, stali się ruchomymi plamkami kolorów, uśmiechającymi się, gestykulującymi, krzątającymi się wokół swoich spraw z nową energią, gdy niebo pękło i ciemny dzień zamienił się w złoto.

---

\* *Brasserie* (franc.) – piwiarnia, bar.

W *brasserie* panował tłok. Powietrze, gęste jak zupa i gryzące, przesycał zapach smacznego jedzenia – sera na ubrudzonych sosem nożach, rozlanego wina, fusów gorzkiej kawy – oraz czegoś cuchnącego: przemoczonych, schnących teraz płaszczy, a całą tę scenierię spowijał niebieskawy dym gauloise'ów.

Znalazłem miejsce w dalszym kącie, przy wahadłowych drzwiach dla obsługi, i kiedy jadłem mój ciepły, aromatyczny omlet, rozlewając ziołowy sos po całym talerzu, te otwierały się raz w tę, raz w tamtą stronę, popychane niecierpliwie przez kelnerów, obładowanych tacami z piętrzącym się jedzeniem. Początkowo widok ten był jak aperitif, bo umierałem z głodu, później jednak, kiedy zjadłem posiłek, źle wpływał na moje trawienie – za dużo frytek, za dużo kotletów schabowych. Gdy poprosiłem o kawę, kobieta, która zajmowała miejsce obok mnie, wciąż brała do ust fasolkę na widelcu i wygłaszała siostrze wykład na temat kosztów utrzymania, ignorując bladą dziewczynkę, która siedziała na kolanach jej męża i domagała się, aby zaprowadzono ją do toalety. Rozmowa nie ustawała ani na chwilę i kiedy tak się jej przysłuchiwałem – bo takie rzeczy były moją jedyną rozrywką, gdy na chwilę przestawała mnie pochłaniać historia – znowu ogarnęła mnie kryjąca się pod pozornym rozbawieniem depresja. Czułem się obcy, nie byłem jednym z nich. Lata studiów, lata praktyki, płynność, z jaką mówiłem ich językiem, uczyłem ich historii, przedstawiałem ich kulturę, nie zbliżyły mnie jednak do nich samych. Byłem zbyt trudny, zbyt świadomy swojej rezerwy. Moja wiedza była książkowa, a codzienne doświadczenia nie głębsze niż ogląd turysty. Odczuwałem potrzebę wiedzy, ale także ból. Zapach ziemi, połysk mokrych dróg i blaknąca farba okiennic w oknach, przez które nie powinienem

zaglądać, szare oblicza domów, przez których drzwi nie powinienem wchodzić, były dla mnie jak wieczna przygana, przypomnienie o dystansie, narodowości. Inni mogli wdrzeć się do środka i przełamać tę barierę, ja nie. Wiedziałem, że nigdy nie będę Francuzem, nigdy nie będę jednym z nich.

Rodzina siedząca obok mnie wstała i wyszła, gwar ucichł, dym się przerzedził, a *patron*\* i jego żona wreszcie usiedli za ladą, by zjeść obiad. Zapłaciłem, też wyszedłem i szwendałem się ulicami, a mój brak celu, błędzące spojrzenie, sam strój – szare flanelowe spodnie, tweedowa marynarka zbyt już wytarta ze starości – zdradzały, że jestem Anglikiem w przepychającym się tłumie mieszkańców prowincji w dzień targowy, którzy szukali okazji wśród wiszących na sznurkach okutych butów, fartuchów w czarne i białe groszki, plecionych kapci, sosjerek i parasoli. Młode roześmiane dziewczyny trzymające się za ręce, z koafiurami prosto od fryzjera; stare kobiety, przystające, oglądające towary, kręcące głowami na widok ceny kraciastych obrusów i idące dalej bez kupowania; młodzi mężczyźni o niebieskawych od zarostu brodach, w purpurowych garniturach, mierzący wzrokiem dziewczęta, dźgający się nawzajem łokciami, z nieodłącznym papierosem przyklejonym do warg; wszyscy oni na koniec dnia powrócą do swojskiego miejsca zwanego domem. Do cichych pól, będących ich własnością, porykujących zwierząt gospodarskich, mgły unoszącej się nad wilgotną ziemią, upstrzonych przez muchy kuchni, kota chłepczącego mleko obok kołyski, podczas gdy babka będzie gderać i gderać, a jej syn wyjdzie na błotniste podwórko, machając wiadrem.

---

\* *Patron* (franc.) – właściciel.

Tymczasem ja, ponieważ czas mnie nie naglił, zajrzałem do kolejnego dziwnego hotelu i zostałem uznany za swojego, dopóki nie wyjąłem brytyjskiego paszportu; wtedy ukłon, uśmiech, prawdziwy pokaz uprzejmości i lekkie, pełne żalu wzruszenie ramion. „Mamy w tej chwili bardzo niewielu gości. Sezon się skończył. Całe to miejsce jest do pańskiej dyspozycji, *monsieur*” – co miało sugerować, że na pewno będę chciał dołączyć do gromady moich hałaśliwych rodaków, którzy stale noszą przy sobie aparaty fotograficzne, robią sobie nawzajem zdjęcia, pożyczają książki w broszurowych wydaniach, wymieniają się egzemplarzami „Daily Mail”. Nie wiedzieli – ci ludzie w hotelu, w którym spędziłem noc, podobnie jak tamci, których mijalem na ulicy – że nie mam ochoty ani na spotkanie z rodakami, ani na własne towarzystwo, natomiast pragnę szczęścia, które nie będzie mi dane, poczucia, że do nich przynależę, że wychowałem się wśród nich i uczyłem, związany więzami krwi, które by znali i je rozumieli. Dzięki temu, żyjąc pośród nich, mógłbym śmiać się z nimi, odczuwać ich smutki, jeść ich chleb – już nie chleb kogoś obcego, lecz mój i ich.

Szedłem dalej i znowu zaczął kropić deszcz, zaganiając ludzi do sklepów i ciężarówek. Nikt nie spaceruje w deszczu, chyba że idzie gdzieś w interesach, jak poważni mężczyźni w kapeluszach trilby, z szerokimi rondami, którzy spieszyli do prefektury z teczkami pod pachą, podczas gdy ja stałem niepewnie na rogu Place Aristide Briand. Schroniłem się do Notre-Dame-de-la-Couture przy prefekturze. Kościół był pusty, z wyjątkiem modlącej się starszej kobiety, ze łzami jak perły w kącikach szeroko otwartych, ciekawskich oczu, a potem także dziewczyny w butach na wysokich obcasach, która, stukając nimi, przeszła szybko nawą zapalić świecę przed niebiesko-białą figurą.



Wówczas, jakby zapadając się w ciemność przysłaniającą rozum, zrozumiałem, że później będę musiał się upić, bo inaczej umrę. Ile znaczy porażka? Być może nic dla mojego małego zewnętrznego świata, nic dla przyjaciół, którym się wydawało, że dobrze mnie znają, nic dla osób, które mnie zatrudniały, i dla studentów, którzy słuchali moich wykładów, nic dla urzędników w British Museum, dobrodusznym i uprzejmym, którzy mówili mi „dzień dobry” i „do widzenia”, nic dla łagodnych, życzliwych tępych londyńskich duchów, wśród których żyłem, oddychałem i poruszałem się jako praworządny, cichy trzydziestoosmioletni naukowiec. Ale dla siebie samego, który domagał się, aby ktoś go wyzwolił, dla tkwiącego we mnie człowieka? Czym dla niego były moje nędzne dokonania?

Kim był i skąd się wziął, jakie mógł mieć potrzeby i tęsknoty? – tego nie potrafiłem powiedzieć. Tak bardzo nie chciałem dopuścić go do głosu, że niewiele o nim wiedziałem; mógł jednak mieć szyderczy śmiech, nieczułe serce, porywczy temperament i sprośny język. Nie zamieszkiwał wypełnionej książkami kawalerki; nie budził się każdego ranka ze świadomością, że nie ma rodziny, więzów, zobowiązań, przyjaciół ani zainteresowań, które byłyby dla niego nieskończenie cenne, niczego, co stanowiłoby cel życia albo kotwicę, oprócz historii Francji i języka francuskiego, które jakimś sposobem szczęśliwie pozwalały mu zarabiać na chleb.

Niewykluczone, że gdybym nie trzymał go w zamknięciu, mógłby się śmiać, bawić, walczyć i kłamać. Może cierpieć, może nienawidzić, może z powodu mojego okrucieństwa żył samotnie. Mógłby mordować, kraść – albo poświęcać się straconym sprawom, kochać ludzkość, wyznawać wiarę głoszącą boskość zarówno Boga, jak i człowieka. Niezależnie

od swojej natury zawsze krył się pod niepozorną powierzchownością tego bladego typu, który siedział teraz w kościele Notre-Dame-de-la-Couture, czekając, żeby deszcz przestał padać, dzień się skończył, wakacje dobiegły kresu, przyszła jesień, powróciła znowu na kolejny rok, kolejny odcinek czasu codzienna rutyna jego zwykłego, bezbarwnego londyńskiego życia. Pozostawało tylko pytanie, jak odemknąć te drzwi. Jakim łomem go uwolnić? Nie było odpowiedzi – oczywiście, z wyjątkiem mglistego czasowego zamroczenia, w które mogła mnie wprowadzić butelka wina w kawiarni, zanim bym ponownie wsiadł do samochodu i ruszył na północ. Tu, w pustym kościele, alternatywą była modlitwa, ale modlitwa o co? Żeby podjąć chodzącą mi po głowie decyzję i pojechać do Abbaye, licząc, że tam odkryję, co począć z życiową klęską? Patrzyłem, jak stara kobieta zbiera się do wyjścia i opuszcza kościół, chowając różaniec w fałdach spódnicy. Jej łzy zniknęły, ale nie wiedziałem, czy wskutek pocieszenia, czy dlatego, że wyschły na policzkach. Pomyślałem o *carte Michelin*\* w moim samochodzie i niebieskim kółku, którym zaznaczyłem Abbaye de la Grande-Trappe. Po co to zrobiłem? Czego się spodziewałem po podróży w to miejsce? Powinienem zdobyć się na odwagę, żeby nacisnąć dzwonek u drzwi budynku, w którym kwaterowali gości? Może odpowiedzieliby na moje pytanie i pytanie tkwiącego we mnie tego drugiego...

Ruszyłem za starszą kobietą do wyjścia. Nagle zapragnąłem ją zapytać, czy jest chora, ostatnio owdowiała albo ma umierającego syna, i czy pomodliwszy się, odzyskała nadzieję. Jednak kiedy wyszedłem za drzwi i zbliżyłem się do niej, wciąż mamroczącej pod nosem,

---

\* *Carte Michelin* (franc.) – mapa Michelina.

wzięła moje zatroskane spojrzenie za współczucie turysty i patrząc z ukosa, wyciągnęła rękę po jałmużnę. Dałem jej dwieście franków, gardząc własną małością, i uciekłem od niej rozczarowany.

Deszcz ustał. Na niebie rozciągały się czerwone wstęgi, a mokre ulice lśniły. Ludzie na rowerach wracali z pracy do domu. Ciemny dym z kominów fabrycznych w dzielnicy przemysłowej wydawał się czarny i ponury na przemytym niebie.

Straciłem poczucie kierunku, odchodząc od sklepów i bulwarów ulicami, które zdawały się prowadzić donikąd i zbiegać, obserwowane krzywym okiem przez mury fabryczne i wysokie szare budynki, i wiedziałem, że to, co robię, nie ma sensu: powinienem albo pójść po samochód i wynająć pokój na noc w jednym z hoteli w centrum, albo opuścić Le Mans i pojechać przez Mortagne do la Grande-Trappe. Ze zdziwieniem ujrzałem przed sobą dworzec kolejowy i przypomniałem sobie, że samochód oraz katedra znajdują się po drugiej stronie miasteczka. Oczywistym wyjściem z sytuacji było złapanie taksówki, żeby tam wrócić, ale najpierw musiałem napić się w bufecie dworcowym i podjąć decyzję w związku z la Grande-Trappe. Przeszedłem przez ulicę, jakiś samochód gwałtownie skręcił, by mnie ominąć, i zaraz potem się zatrzymał. Kierowca wychylił się z okna i zawołał do mnie po francusku:

– Hej, Jean, kiedy wrócisz?!

To, że sam miałem na imię John, zbiło mnie z tropu. Przez chwilę pomyślałem, że musiałem gdzieś poznać tego człowieka i powinienem wiedzieć, kim jest, więc odkryknąłem, także po francusku:

– Jestem tu tylko przejazdem... wyjeżdżam wieczorem!  
– zastanawiając się jednocześnie, kim on może być, do diabła.